

Szczepionki zadziały!

W poniedziałek przed Świętami poczułem lekki ból gardła, a następnego dnia niewielkie podniesienie temperatury (37.3) i jakby ból mięśni. Normalnie nie wzbudziłoby to mojego zaniepokojenia, ale mamy przecież pandemię. Odwołałem więc moje uczestnictwo w najbliższym zebraniu, odwołałem planowaną wizytę znajomego i poprosiłem syna o zakupienie testu. Wieczorem przeprowadziłem test (nic trudnego, zwłaszcza dla ludzi, którzy miewają napady dłubania w nosie). I właśnie okazało się, że jest pozytywny, czyli że dopadł mnie wirus. Nie przejąłem się specjalnie, ponieważ jestem po trzech dawkach szczepionki, ale oczywiście postanowiłem zastosować kurację, której używam zawsze w przypadku wszelkich chorób: aspiryna, witamina C i dużo płynów. Nie zmniejszyło to specjalnie dolegliwości, ale ustabilizowało sytuację. Jedynym kłopotem było to, że Święta spędziłem zupełnie sam, bo nałożyłem sobie, rzecz jasna, dobrowolną kwarantannę. Ale rodzina dostarczyła mi (pod drzwiami wiktuałów, że mogłem bez problemu, tradycyjnie, przejeść się świątecznymi przysmakami. Po trzech dniach temperatura powróciła do normy, pozostał mi tylko nieco chrapliwy głos. Po dziesięciu dniach powtórzyłem test. Był negatywny.

Oczywiście wiadomość o mojej chorobie szybko rozeszła się wśród bliskich, dostałem mnóstwo telefonów z pytaniami o zdrowie i życzeniami szybkiego powrotu do normalności, za które jestem ogromnie wdzięczny. Wszystkim powtarzałem, iż jestem kolejnym dowodem na to, że szczepionki działają tak, jak powinny. Na ogół przyjmowano to ze zrozumieniem. Ale reakcja jednej z kuzynek była inna. Powiedziała z przekąsem: no tak, ty wierzysz w naukę...

Rzeczywiście dziwne, a w dzisiejszych czasach wręcz niestychane: ja naprawdę wierzę w naukę. Ktoś powie, że to nic dziwnego, w końcu jestem z tego środowiska, trudno kalać własne gniazdo. Ale to nie takie proste. Wiem przecież, że nie wszyscy fizycy osiągnęli odpowiedni poziom, znam nawet notorycznych głupców. Wiem, że zdarzają się pomyłki, a nawet (bardzo rzadko, na szczęście) oszustwa w badaniach, a cóż dopiero w dziedzinie tak skomplikowanej jak medycyna. Wiem, że uczeni bywają nieodpowiedzialni. To wszystko prawda. Ale wiem też, że cały system nauki jest tak skonstruowany, że błędy są poprawiane, oszustwa wykrywane i tępione, a wyniki wielokrotnie sprawdzane przez konkurujące ze sobą zespoły. Obserwowałem to wielokrotnie i myślę, że nic nie wskazuje na to, żeby teraz było inaczej.

Podobno jednak, jak wskazują badania i stosunek do szczepień, tylko połowa Polaków podziela moje przekonanie, że nauka dostarcza wiadomości sprawdzonych i wiarygodnych. Druga połowa woli wierzyć w łatwo dostępną informację z mediów społecznościowych, gdzie nie ma żadnej „kontrolki jakości”, a prawda i fałsz są niemal idealnie wymieszane.

Bez specjalnej satysfakcji wspominam, że przewidywałem już jakiś czas temu taki rozwój wypadków i dawałem temu nie-

jednokrotnie wyraz, również na tych łamach (ostatnio: PAUza 431). Widziałem dość jasno, że jedną z przyczyn (nie wiem czy najważniejszą), jest niefrasobliwość uczonych w kreowaniu daleko idących obietnic jakie wynikają z ich mniej lub bardziej spektakularnych odkryć. Obietnic w dodatku rozdmuchiwanych ochoczo przez dziennikarzy. Stałe wmawianie ludziom, że nauka potrafi rozwiązać wszystkie stojące przed nimi problemy, musiało w końcu doprowadzić do zniechęcenia i do kryzysu wiary w te obietnice. Dziś widzimy jak ten nastrój wpłynął na odbiór nawet tak kolosalnego sukcesu nauki, jakim niewątpliwie było błyskawiczne opracowanie skutecznych szczepionek. Połowa z nas albo kwestionuje ich skuteczność, albo nawet uważa szczepionki za szkodliwe. I to pomimo milionów przykładów ich pozytywnego działania.

Naturalnie nie jest to tylko sprawa szczepionek. I nie tylko sprawa Polski. Głębokie podziały, w bardzo wielu sprawach, pojawiły się wszędzie.

Weszliśmy ewidentnie w okres sceptycyzmu i rewizjonizmu, gdy kwestionowane są wszystkie dotychczas uświęcone zasady, a „publiczność” woli niesprawdzone pogłoski od rzetelnych badań. To też nic nowego. Takie sytuacje już się w historii zdarzały i czasem nawet prowadziły do pozytywnych zmian. Niestety, zwykle było to poprzedzone silnymi perturbacjami społecznymi.

Obawiam się, że niewiele jesteśmy w stanie na to poradzić. Pisałem już o tym niedawno (PAUza 566), ubolewając nad bezradnością w dyskusji z przeciwnikami szczepień. To też nic nowego. Filozofowie wiedzą od dawna, że sensowna argumentacja możliwa jest tylko, jeżeli ustali się wcześniej podstawowe zasady dyskusji. Natomiast zupełnie niemożliwe jest porozumienie między ludźmi, którzy te same fakty widzą i interpretują zupełnie inaczej. Pomyślałem, że świetnie ilustruje to anegdota zaczerpnięta ze znakomitej książki*, która opowiada całkiem poważną filozofię za pomocą żartów.

Pewna wierząca kobieta wychodzi codziennie rano przed dom i woła: – Chwała Panu! Obok wychodzi przed sąsiedni dom ateista i krzyczy: – Nie ma żadnego Boga! Ciągnie się to tygodniami. Kobieta woła „Chwała Panu!”, a ateista „Nie ma żadnego Boga!”.

Czas mija. Kobieta wpada w tarapaty finansowe i nie może kupić sobie jedzenia. Wychodzi więc przed dom i prosi Boga o jakieś produkty, a następnie woła „Chwała Panu!”

Następnego ranka znajduje przez domem potrzebne jej produkty. Oczywiście natychmiast wznosi ręce do nieba i woła „Chwała Panu!”.

W tym momencie zza krzaka wyskakuje ateista i mówi: „Ha! To ja zrobiłem te zakupy. Nie ma żadnego Boga!”

Kobieta patrzy na niego z uśmiechem i woła: „Chwała Ci Panie! Nie tylko dałeś mi te produkty, ale jeszcze zmusiłeś szatana, żeby za nie zapłacił.”

I jak tu rozstrzygnąć, pytam, kto z nich ma rację?

ANDRZEJ BIAŁAS

* Thomas. Cathcart i Daniel Klein, *Przychodzi Platon do doktora*; przekład: Krzysztof Puławski, Wyd. Media Rodzina, Poznań 2009.